

Solidarność na WNE UW w latach 1980.

1. Prolog

Bezpośrednim impulsem do spisania tych wspomnień była lektura *Księgi Jubileuszowej* wydanej z tytułu pięćdziesięciolecia Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego obchodzonego w 2003 r. *Księga* zawierała wiele ciekawych informacji, ale akurat lata 1980. były potraktowane wyjątkowo błado. Być może dlatego, że tekst został przygotowany na podstawie materiałów nieżyjącego już profesora historii gospodarczej, który nie był entuzjastą "Solidarności" i przez jego uczennicę, która zaczęła pracę na Wydziale znacznie później. Wprawdzie pisanie wspomnień przystoi raczej emerytowi, ale doszedłem do wniosku, że nawet do sześćdziesięciolecia Wydziału – o ile dożyję – nie nabędę jeszcze uprawnień emerytalnych, więc nie ma na co czekać, jeśli kolejna *Księga* ma zawierać pełniejszy opis tego ciekawego okresu.

Wychowałem się w domu, w którym nie było jakichkolwiek powodów – światopoglądowych, ekonomicznych lub historycznych – do sympatii dla ustroju socjalistycznego. Jako nastolatek buntowałem się przeciw różnym rzeczom, ale akurat pod względem stosunku do politycznego *establishmentu* zgadzałem się ze starszymi. Nie byłem jednak rewolucjonistą i swoich poglądów zazwyczaj nie manifestowałem publicznie. Pierwsza okazja nadeszła dopiero 8 marca 1968 roku, kiedy to na znak protestu wyrzuciłem przez okno klasowe (z III piętra) jakieś krzesło. Wprawdzie nie pamiętałem tego incydentu, ale na spotkaniu absolwentów liceum w 2005 roku dwie osoby niezależnie od siebie przypomniały mi o tym, a więc chyba musi to być prawda. Niestety nie mogę sobie przypomnieć, czy wyrzucając krzesło protestowałem przeciw decyzji dyrektora, który zamknął uczniów w szkole, żeby nie pomieszali się ze studentami, czy też przeciwko ówczesnej władzy państwowej.

Polityka kulturalna PZPR pozwoliła mi też innym okiem spojrzeć na Mickiewicza, w którego dziełach zacząłem dostrzegać więcej niż dotychczas. W ramach manifestacji patriotycznej nakleiłem na okładkę wąskie paski białej i czerwonej taśmy, żeby stojący na półce opasły tom dzieł wszystkich Wieszczów wyróżniał się na tle domowego księgozbioru.

Potem przyszło czytanie bibuły, zagranicznych wydań Orwella, przedwojennego Słonimskiego i w skromnym zakresie pomnażanie nieoficjalnego obiegu. W tym celu korzystałem ze starej maszyny do pisania u jednej z ciotek, ponieważ maszyna służbowa używana w domu przez ojca (który pisał na niej m.in. projekty międzynarodowych umów lotniczych) musiała być namierzona przez bezpiekę. Kserografy zaś nie były w tych czasach dostępne.

Studia ekonomiczne w latach 1969-1974 nie dostarczały zbyt wielu możliwości odejścia od ortodoksji. Pasjonowałem się gościnnymi wykładami Tadeusza Kowalika, którego poglądy nie wydają mi się już teraz specjalnie interesujące, jednak we wczesnych latach 1970. były nader wywrotowe. Dzięki Krzysztofowi Hagemejerowi – który studiował rok niżej ode mnie – poznałem profesora Edwarda Lipińskiego. Przynajmniej raz do roku, wraz z grupą paru osób, odwiedzaliśmy profesora (zazwyczaj w dniu imienin czy urodzin) w

jego pięknym, staroświeckim mieszkaniu. I znów, z dzisiejszej perspektywy, jego poglądy mógłbym określić jako tęsknotę za "socjalizmem z ludzką twarzą", ale wtedy wydawały mi się fascynujące. Na pierwszy poważny kontakt z nowoczesną ekonomią pozwolił mi dopiero roczny pobyt na University of Wisconsin w Madison (w ramach stypendium Fulbrighta) w 1978/79. Wcześniej, przygotowując doktorat, korzystałem z dobrze zaopatrzonej biblioteki SGPiS, ale więcej było w tym z mojej strony amatorszczyzny niż poważnej nauki.

W latach 1972-1977 odbyłem studia matematyczne. Był to pod każdym względem inny świat. Spotkania, które wśród ekonomistów byłyby organizowane po cichu, wśród matematyków zapowiadane były na tablicy ogłoszeń. Występował "Salon Niezależnych", a powielony jakimś cudem *Rajdowy śpiewnik matematyków* zawierał piosenki w rodzaju "Telewizja pokazała, a uczeni podchwycili". Ostatni rok moich studiów przypadł na początek działalności KOR-u i w ogóle cały system wydawał się chylić ku upadkowi, choć – jak się uważało – upadek ten mógł trwać jeszcze przez wiele pokoleń.

2. Lata 1980-1981

Latem 1980 r. zajęty byłem opieką nad nowonarodzonym dzieckiem. Przy kłopotach z zakupem najprostszych rzeczy było to zajęcie wypełniające praktycznie cały czas. Aż się dziwię, że udało mi się równocześnie przygotować dość obszerny referat pt. "Racjonalność, optymalizacja, cybernetyka. Na marginesie matematyczno-ekonomicznych prac Oskara Langego". Zamówienie takie zgłosiły ówczesne władze dziekańskie w związku z szykowaną uroczystą konferencją ku czci najbardziej znanego polskiego ekonomisty. Przystąpiłem do zadanej mi pracy z zamiarem gruntownego przestudiowania dorobku Langego z należnym szacunkiem. Byłem już jednak po lekturze wielu ważnych światowych publikacji poświęconych racjonalności i efektywności i ze zdziwieniem zauważyłem, że prace, które w polskim środowisku akademickim mogły uchodzić za odkrywcze, oglądane z szerszej perspektywy okazywały się mniej odkrywcze. Trochę byłem zażenowany z powodu krytycznego tonu mojego wystąpienia konferencyjnego, które wypadło jesienią 1980 r. Ale sumienie miałem czyste, ponieważ przygotowanie referatu nastąpiło latem, kiedy o przełomie mogłem tylko marzyć.

Strajk w Stoczni Gdańskiej obserwowałem z dystansu nie rozumiejąc jego doniosłości historycznej. Na dobre ocknąłem się dopiero w trakcie podpisywania Porozumień Sierpniowych, którego transmisję nagrałem z radia na magnetofon kasetowy na wszelki wypadek, gdyby wszystko miało wrócić do dawnego porządku, a władze miały się wyprzeć tego, co obserwowaliśmy.

Po 1 września 1980 r. we wszystkich instytucjach – również na WNE UW – rozpoczęła się chaotyczna działalność zmierzająca do powołania nowych związków zawodowych. Władza też nie próżnowała i starała się zdeorganizować rodzący się ruch społeczny. Nazwy "Solidarność" właściwie jeszcze nie było. Powstawały lokalne organizacje, które mogły dryfować w każdą stronę. Na uczelniach powstawał m.in. "Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Szkolnictwa Wyższego i Nauki", który funkcjonował jako tzw. "dziewięcioliterowiec", gdyż pełną nazwą nikt nie był w stanie sprawnie się posługiwać. W tym chaosie następowała jednak swego rodzaju samoorganizacja wokół Lecha Wałęsy, ponieważ wiele osób po prostu pytało, który związek opowiada się za Gdańskim Komitetem Strajkowym i nie chciał przystępować do innych, skwapliwie tworzonych przez dziwnych działaczy. Po krótkich wahaniach i po zasięgnięciu opinii

znajomych przystąpiłem do "dziewięcioliterowca", którego struktury właśnie się tworzyły na Uniwersytecie Warszawskim.

Zacząłem uczestniczyć w spotkaniach uniwersyteckich z zapałem. Godziłem się również na pełnienie różnych funkcji administracyjno-porządkowych, ponieważ wielu starszych i poważniej zaangażowanych nie wykazywało do tego ochoty. Np. zobowiązałem się – wraz z drugą osobą bodajże z jakiegoś wydziału filologicznego – spisać protokół z jednego z ogólnopolskich spotkań "dziewięcioliterowca", które odbyło się w Pałacu Kazimierzowskim. Pamiętam jak z konsternacją siedzieliśmy nad stenogramem, w którym znajdowała się relacja z uczelni częstochowskiej dotycząca głównie problemu transportu nieświeżych kurczaków wraz z żądaniem, by związek zainteresował się kontrolą ciężarówek przewożących drób. Opracowując stosowny postulat związkowy wybrnęliśmy jakoś pisząc ogólnie o potrzebie usprawnienia aprowizacji miast.

Mając idealistyczne przekonania o nowym ruchu uważałem, że powinien on zajmować się wszystkimi ważnymi sprawami społecznymi. Właśnie niedawno poznałem pojęcie kosztów zewnętrznych i byłem bardzo przejęty ochroną środowiska. Wydawało mi się w związku z tym, że "Solidarność" powinna zaangażować się w problematykę ekologiczną i domagać się internalizacji kosztów zewnętrznych (czyli m.in. zamykania najbrudniejszych zakładów). Nie znałem jeszcze wtedy badań amerykańskich dokumentujących zaangażowanie związków zawodowych w utrzymanie produkcji arsenu, który zbierał śmiertelne żniwo wśród robotników i ich rodzin. Nie wiedziałem również o tym, że przez prawie całe lata 1990. w Polsce związki zawodowe będą w stanie wymuszać na rządach opóźnienie decyzji o zaprzestaniu produkcji rakotwórczego azbestu. Opracowałem dwustronicowy tekst postulujący poparcie związku zawodowego dla internalizacji kosztów zewnętrznych i z gorliwością neofity usiłowałem do pomysłu przekonać każdego, kto się tylko nawinął. Na jednym z zebrań siedziałem obok profesora Henryka Samsonowicza, któremu również wręczyłem memoriał. Przeczytał go, spojrzał na mnie życzliwie i pokiwał głową.

Po jakimś czasie zorientowałem się, że moje pomysły internalizacji kosztów zewnętrznych nie są w stanie zainteresować związkowców, natomiast gra toczy się o sprawy znacznie poważniejsze. Janos Kornai był dla mnie autorytetem w sprawach ekonomicznych, więc – inspirując się głównie jego koncepcjami "ssania" i "ciśnienia" w warunkach nierównowagi rynkowej – napisałem artykuł "Za czym kolejka ta stoi?", którego tytuł pochodził z ówczesnej piosenki. Chciałem go opublikować w *Tygodniku Solidarność*. Nawet rozmawiałem w tej sprawie z Waldemarem Kuczyńskim, który w redakcji odpowiedzialny był za publicystykę ekonomiczną. Redakcja jednak zwlekała z jego drukiem. Być może postulat radykalnej reformy rynkowej był dla związku niestrawny, a być może artykuł był po prostu kiepsko napisany, a redakcja zbyt delikatna, żeby mi to powiedzieć. W końcu po kilku miesiącach nastał Stan Wojenny i sprawa umarła śmiercią naturalną.

W 1980 r. na Wydziale Nauk Ekonomicznych do nowego związku zapisało się sporo osób. Młodych cieszyła zwłaszcza obecność profesorów, którzy – jak się wydawało – ryzykowali swoje kariery akademickie, a jednak poparli kontestatorski ruch społeczny. Zimą okrzepła organizacja nowego ruchu, a "dziewięcioliterowiec" przeobraził się w branżowe odgałęzienie "Solidarności". Zachodziła potrzeba wyłonienia nowych władz lokalnych. Dotychczasowi liderzy nowego ruchu związkowego na Wydziale, Władysław Janowski i Dariusz Grabowski (adiunkci profesora Adama Runowicza) nie chcieli kandydować. Dr Tomasz Stankiewicz pełnił odpowiedzialne funkcje na szczeblu uniwersyteckim. Zaczęło się więc wypychanie kandydatów, z których żaden nie miał specjalnie ochoty podjąć się

czekających zadań. Okazało się, że mam najsłabsze nerwy i jako pierwszy zgodziłem się kandydować. Inni odetchnęli z ulgą i przy jednym głosie wstrzymującym (swoim) zostałem wybrany Sekretarzem Komisji Wydziałowej. Podejrzewam, że ktokolwiek, kto zgodziłby się wówczas kandydować zostałby wybrany. Ja zaś zostałem wypchnięty przed szereg zapewne z tego powodu, że od dawna nie kryłem swoich sympatii politycznych, miałem świeżo za sobą obronę doktoratu, a wcześniej odbyłem staż na uniwersytecie amerykańskim, co sugerowało, że otarłem się o nowoczesną naukę. Moim zastępcą została wybrana Elżbieta Olszewska z wydziałowej biblioteki. Odzwierciedlało to duże zaangażowanie pracowników bibliotecznych w powstawanie "Solidarności".

Wróciwszy późną porą do domu i, oznajmiwszy nowinę, zostałem dość nieprzychylnie potraktowany przez żonę, która słusznie podejrzewała, że moje ograniczone dotąd zaangażowanie w prace domowe ulegnie dalszemu ograniczeniu na skutek działalności związkowej. Tym niemniej zabrałem się do pracy z zapałem i wkrótce przedstawiłem Dziekanowi jakiś dokument zawierający związkowe postulaty. Nie pamiętam co w nim było, ale swoją misję traktowałem bardzo poważnie. Dziekan również poważnie podszedł do sprawy i zapytał, "co z tym papierem ma zrobić: czy o dupę wytrzeć?" Nie dałem się sprowokować i odpowiedziałem, że "zrobi, co uważa za stosowne." Poza tym incydentem stosunki układały się jednak poprawnie.

Na wyższych szczeblach "Solidarność" tymczasem była przez władze prowokowana nieustannie i dawała się sprowokować. Nie było niemal tygodnia, żeby ktoś nie był pobity albo w inny sposób skrzywdzony. W rezultacie prawie co tydzień związek proklamował strajk, który na Uniwersytecie polegał na odwoływaniu zajęć, wiecowaniu i przygotowywaniu postulatów. Z jakiegoś powodu uznano, że czwartek w południe jest najlepszą porą dla tego rodzaju manifestacji. Tak się niefortunnie złożyło, że miałem akurat wtedy wykład albo ćwiczenia, a zatem realizacja programu stała się problematyczna. Apelowiałem u władz związku, żeby terminy akcji strajkowych zmieniać, ale bezskutecznie.

Wraz z paroma kolegami zostaliśmy wybrani delegatami na uniwersyteckie zebrania "Solidarności". Niestety uniwersytecka Komisja Zakładowa nie była w stanie utrzymać związku ze swoim elektoratem, co stopniowo doprowadziło do katastrofalnej absencji na tych zebraniach. Chodziłem na nie regularnie, ponieważ uważałem to za swój obowiązek, choć i ja inaczej określiłbym priorytety działania. Absencja na zebraniach doprowadziła do chronicznego braku quorum i niemożności podejmowania uchwał w drugiej połowie 1981 r.

Na WNE UW odbywaliśmy zebrania w miarę jak zachodziła potrzeba, ale nie przypominam sobie żadnych ostrych spięć. Raz tylko jeden z członków wyraził swoją dezaprobatę dla religijności Wałęsy. Ktoś wyjaśnił, że robotnikom w Stoczni to nie przeszkadza i sprawa została zamknięta. Inne spory światopoglądowe się nie ujawniły.

"Solidarność" na Wydziale żyła i angażowała się w sprawy różnego kalibru. Z perspektywy 21. wieku wydają się one mało ważne, ale wtedy pasjonowało się nimi kilkudziesięciu pracowników i jeszcze więcej studentów działających w NZS. Atmosferę tamtych lat oddaje nasze piśmiotwo zatytułowane *Życie codzienne po....* Tytuł wziął się ze sztuki przygotowanej przez Akademię Ruchu i wystawianej w 1980 r. *Życie codzienne po Wielkiej Rewolucji Francuskiej*. Nie zdawałem sobie w pełni sprawy z zachodzących procesów historycznych, ale byłem świadomy, że nawet w najbardziej rewolucyjnych ruchach życie codzienne idzie swoim torem i – niezależnie od zaangażowania – dobrze jest zachować pewien dystans do tego, w czym się uczestniczy. Dlatego nasze piśmiotwo odbiegało od

standardu powielanego w innych tego typu publikacjach. Sprawy poważne pojawiały się również, ale nigdy nie zdominowały lekkiego na ogół tonu zamieszczonych tekstów i ilustracji.

W latach 1980-81 kserografy były starannie kontrolowane. Na Wydziale poligrafia była obsługiwana przez pana Józefa Krzysztofika, który od początku zapisał się do nowego związku. Aż korciło, żeby namówić go na odbicie czegoś poza cenzurą, ale nie robiliśmy tego wiedząc, że ryzyko wpadki było nadmierne, a konsekwencje byłyby dla całej jego rodziny bardzo dotkliwe. Jednak dało się legalnie wykorzystać talent artystyczny pana Krzysztofika, który nieustraszenie opracowywał szatę graficzną "solidarnościowych" plakatów i robił ilustracje do naszego pismka. Natomiast dystrybucja "bibuły" odbywała się bez zaangażowania wydziałowej powielarni.

Przyszła wreszcie jesień 1981 r. Walka władzy z "Solidarnością" nasiliła się do tego stopnia, że związek proklamował w końcu strajk okupacyjny w wielu zakładach. Również Uniwersytet Warszawski przerwał regularne zajęcia i rozpoczął okupację gmachów. Wielu osobom żal było nie odbywać zajęć. Żeby jednak nie łamać strajku, zgłaszano zajęcia – jeśli tylko mogły zostać podciągnięte pod problematykę polityczną – w ramach "Wszechnicy Strajkowej". Ja również pamiętam prowadzenie jakichś wykładów z ekonomii wśród strajkujących studentów, którzy nie wykazywali specjalnego zainteresowania tym, co mówiłem. Snuli się po cichu, albo zagrzebywali się w śpiworach odsypiając zapewne jakieś bardziej pasjonujące wydarzenia z poprzedniej doby.

Poza wykładami akademickimi, uczestnicy strajku okupacyjnego na Wydziale Nauk Ekonomicznych mogli cieszyć się również zajęciami bardziej rozrywkowymi. Któregoś dnia zabawiał nas znany z STS Jerzy Markuszewski. Innym razem nasz pracownik i autor publikacji historyczno-gospodarczych, doc. dr hab. Kazimierz Piesowicz, opowiadał o swoich spotkaniach z cenzurą i o tym, jak próbował ją przechytrzyć. Z kolei zaproszony przez dr Katarzynę Tymowską Romuald Kukołowicz, doradca Prymasa, opowiadał o walkach w obozie władzy. Pomimo napięcia psychicznego, atmosfera była dobra, a spanie na zsuniętych fotelach dawało pokoleniu, które nie miało swojego powstania, chociaż namiastkę chrztu bojowego. Z perspektywy czasu nasze postulaty nie były specjalnie fundamentalne (jednym z głównych powodów strajku było uporczywe trzymanie się stanowiska przez jakiegoś marnego rektora w jakiejś drugorzędnej szkole wyższej), ale wtedy wydawały się nam ważne, a władza robiła wszystko, żeby dokuczyć tym, którzy nie byli posłuszni.

W początkach grudnia "Solidarność" uznała, że jej postulaty są spełnione i strajk został zawieszony. Studentów rozpuściliśmy do domów i gmach przy Długiej opustoszał 11 grudnia 1981 r. Odetchnąłem z ulgą, ponieważ czułem się odpowiedzialny za młodzież, której bezpieczeństwo – jak mi się wydawało – wisiało na włosku.

Powróciłem do domu i starałem się nadrobić zaległości w pracy naukowej. 12 grudnia siedziałem nad jakimiś papierami i zwróciłem uwagę, że między 23:00 a 24:00 były dzwony w kościele świętego Stanisława Kostki. Trochę mnie to zdziwiło, ale poszliśmy spać wkrótce po północy nie podejrzewając niczego nadzwyczajnego. Rano obudzili nas przerażeni teściowie, którzy przybiegli, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zostałem internowany. Opowiedzieli o WRON-ie i o pacyfikacji kraju. Nie bardzo się tym przejąłem tłumacząc teściom, że po władzy można się spodziewać różnych wyskoków, ale "Solidarność" jest zbyt potężna i nie da się skruszyć. Pierwsze otrzeźwienie przyszło 16 grudnia i to nawet nie z powodu strzelania do górników. Stałem w sklepie spożywczym i w ponurym milczeniu rozmyślałem nad losem

kopalni "Wujek", podczas gdy moje sąsiadki w kolejce z wielkim ożywieniem rozprawały o sposobach przyrządzania jarzyn. Właściwie dopiero wtedy zrozumiałem, że "Solidarność" i społeczeństwo to nie monolit, a sprawy którymi żyłem ja, moja rodzina, znajomi i koledzy związkowi nie muszą stanowić przedmiotu powszechnego zainteresowania.

3. Stan Wojenny i schyłek PRL

Pierwsze dni Stanu Wojennego przeszły na ukrywaniu tego, co było po domach do ukrycia, poszukiwaniu kontaktu ze znajomymi i studiowaniu list internowanych. Nasz Wydział był pozostawiony we względnie spokojnym. Tylko jedna osoba – Wojciech Ostrowski, który studiował rok później ode mnie – została internowana (po krótkim okresie ukrywania się w cudzych mieszkaniach na Żoliborzu). Powoli odtwarzała się struktura organizacyjna "Solidarności" na UW, ale byliśmy przekonani, że główne uderzenie władz dopiero nastąpi, więc trzeba zachować daleko idącą ostrożność.

Wszyscy funkcyjni – a zatem i ja – mieli wyznaczyć swoich konspiracyjnych zastępców na wypadek aresztowań. Kontaktowanie się z ludźmi bez pośrednictwa telefonów i w sytuacji zamknięcia wszystkich gmachów UW było dość kłopotliwe, ale udało mi się spotkać (osobno) ze wszystkimi kolegami, których miałem ochotę powołać do tej osobliwej służby Ojczyźnie. Okazało się jednak, że jeden ma żonę w ciąży, drugi ojca, któremu bezpieczeństwa depcze po piętach itd., a zatem mianowanie zastępcy wcale nie będzie proste. W końcu Wojciech Otto dał się namówić, choć – jak wielu – mógłby zasłonić się różnymi przeciwwskazaniami.

Tworząca się konspiracja wywołała popyt na wiedzę, która dotąd była mało przydatna. Każdy szukał w rodzinie byłych partyzantów, łączniczek itp., aby dowiedzieć się o praktycznych zasadach, jakich należy przestrzegać w podziemnych organizacjach. Jedną z takich zasad jest reglamentowanie informacji: każdy powinien znać tylko swojego bezpośredniego przełożonego i bezpośrednich podwładnych, żeby w razie wpadki nie wysypać zbyt wielu osób. Inną było uwierzytelnianie za pomocą jakichś rzeczy, które byłyby na tyle pospolite, by nie wzbudzić podejrzeń bezpieki i na tyle szczególne, żeby mogły zidentyfikować konkretnego człowieka.

Od dr. Tomasz Stankiewicza – który pośredniczył pomiędzy zdelegalizowaną Komisją Uczelnianą "Solidarności" a zdelegalizowaną Komisją Wydziałową – otrzymałem polecenie, by udać się do domu kolegi z Wydziału Fizyki, dr. Bogdana Cichockiego, po instrukcje. Jako swój indywidualny identyfikator dostałem filtr, który zakłada się na wąż do pralki. Miałem go nosić zawsze przy sobie i za jego pomocą wylegitymować się jakiemuś innemu zakonspirowanemu działaczowi, gdyby taka potrzeba zaszła. Ale nie zaszła. Jednak filtr o średnicy 3/4 cala nosiłem w kieszeni przez ładnych parę lat, a z pewnością do końca Stanu Wojennego. Od Bogdana Cichockiego dostałem również polecenie, by zgłosić się pod wskazany adres o określonej porze po dalsze instrukcje.

Misja miała się odbyć w jednym z bloków na Muranowie, więc wyregulowałem zegarek i odważnie poszedłem pod zapamiętany adres. Stawiłem się punktualnie z dokładnością do kilku sekund i zostałem wpuszczony do środka. Gospodarz nie zdążył mi jeszcze niczego wręczyć, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Było dla mnie jasne, że to bezpieka, ale gospodarz nie stracił zimnej krwi, tylko kazał mi usiąść w pokoju za zamkniętymi drzwiami. Okazało się, że to nie bezpieka, tylko kolejny związkowiec również przyszedł po instrukcje. Ktoś, kto to wszystko organizował zgrzeszył przeciw zasadom

konspiracji, ponieważ nie powinniśmy się nawzajem spotykać, tym bardziej, że po chwili doszłusował jeszcze jakiś trzeci wystannik. Gospodarz jednak starał się naprawić to wszystko i kolejnych gości separował od siebie, tak że po dziś dzień nie wiem, komu wyznaczono spotkania o tej samej porze, co i mnie.

Moja misja wszakże dobiegała końca. Miałem jeszcze tylko przekazać swojemu tajnemu zastępcy, czyli Wojtkowi Otto informację o jego spotkaniu z jakimś nieznanym mi konspiracyjnym przełożonym. Po otrzymaniu adresu (tym razem gdzieś na Powiślu) postanowiłem sam zbadać teren, żeby młodszemu koledze ułatwić plan udania się na ryzykowne spotkanie. Na kilka dni przed wskazanym terminem poszedłem tam symulując całkowity luz i wybadałem, jak wygląda klatka schodowa. Miałem poczucie, że mój zmiennik jest dzięki temu bezpieczniejszy i na tym moja działalność konspiracyjna się skończyła. W późniejszym okresie pomagałem niekiedy przy reprodukowaniu i rozprowadzaniu "bibuły", ale w strukturach zarządzania podziemną "Solidarnością" już nie uczestniczyłem.

Z dzisiejszej perspektywy mam wrażenie, że władza po prostu machnęła ręką na nasz Wydział, a może nawet i na cały Uniwersytet skupiając swoją uwagę na dużych zakładach przemysłowych. Nasza konspiracja była tak kiepska (o czym świadczyła choćby nieprofesjonalnie zorganizowana skrzynka kontaktowa na Muranowie), że безпеka – gdyby chciała – mogłaby zgarnąć nas wszystkich, ale na szczęście tak się nie stało.

Po kilku tygodniach Uniwersytet otworzono i mogliśmy się znów spotykać w gmachu na Długiej. Roczny program studiów nie miał oczywiście szans na realizację (mimo skrócenia wakacji), ale sytuacja zaczęła zbliżać się do normalnej. O "Solidarności" przypominała sama obecność osób piastujących do niedawna legalne funkcje związkowe, a także nieśmiałe akcje protestacyjne. Czasem był to jakiś plakat, który zdążył powisieć kwadrans, czasem jakaś "bibuła" przekazywana sobie pomiędzy zaufanymi osobami. Nie pamiętam, żeby przedstawiciele władzy dążyli do rewanzu na działaczach zdelegalizowanej "Solidarności". Zdaje się, że nasz Wydział był inny pod tym względem, niż wiele placówek akademickich, w których powrót starego oznaczał represje, albo przynajmniej szyskany.

Internowany Wojtek Ostrowski zapadł na zdrowiu i otrzymał pozwolenie na przejazd na jakieś badania lekarskie. Nie pamiętam jakim sposobem, ale zostałem o tym poinformowany i podjąłem się pomocy w transportowaniu go do szpitala. Była to osobliwa wycieczka, w trakcie której aresztant był pod opieką umundurowanego klawisza, ja zaś opiekowałem się matką Wojtka i tak we czwórkę kręciliśmy się po Szpitalu Praskim aż – po wykonaniu badań – Wojtek powrócił do tzw. internatu. Klawisz był nastawiony liberalnie, więc mogliśmy sobie spokojnie pogadać.

W ogóle lata 1980. okazały się dla Wydziału i dla mnie stosunkowo łaskawe. Po 1956 r. władza rzadko kogoś mordowała i (nie licząc Stanu Wojennego) była również dość powściągliwa we wtrącaniu swoich przeciwników do więzienia. Preferowała bodźce materialnego zainteresowania, a wobec mniej przekupnych miała swój ulubiony instrument, tj. odmowę paszportu. Gdy więc w 1985 r. odmówiono mi zgody na wyjazd na konferencje naukową do Pragi właściwie nie powinienem okazywać zdziwienia. Dziwiło mnie jednak trochę, że kilka miesięcy wcześniej wypuszczono mnie na krótki wyjazd do USA. Gdyby chciano mi dokuczyć, to przecież już wcześniej nie powinienem był dostać paszportu. Zwierzyłem się z kłopotów władzom dziekańskim i po krótkim czasie poinformowano mnie, że paszport dostanę. Nasz pracownik, który działał w Komitecie Dzielnicowym PZPR, powiedział, że to była czyjaś niemądra decyzja, którą udało się odkręcić. Wyjeżdżałem do

Pragi zadowolony, choć podświadomie pewnie zawiedziony, że znajdowałem się w nomenklaturze Komitetu Dzielnicowego PZPR, a nie Wojewódzkiego, nie mówiąc już o Centralnym. Jeszcze raz potwierdziło się, że "Solidarność" uniwersytecka nie była specjalnie interesująca dla władzy.

Jako spiskowcy z Uniwersytetu Warszawskiego czuliśmy się bardzo ważni i szykowaliśmy się, żeby odeprzeć frontalny atak władzy, który jednak nie nastąpił. W czasie nasilających się konfrontacji odwiedził mnie Tomek Stankiewicz ostrzegając, że najbliższej nocy trzeba się spodziewać masowych rewizji i aresztowań, ponieważ beton partyjny postanowił ostatecznie rozprawić się z Uniwersytetem. W mieszkaniu miałem trochę "bezdebitowych" druków, więc poszedłem niezwłocznie do sąsiadki, dr Ireny Rojowskiej, która będąc lekarzem weterynarii przyjmowała codziennie dziesiątki wizyt i nieraz dawała mi jakieś ulotki. Sądziłem, że pomoże mi przechować kłopotliwy towar. Orzekła jednak, że jej mieszkanie nie jest bezpieczne, ale wskazała sąsiada z naprzeciwka, pana Andrzeja Hołogę, który nie powinien się spodziewać najścia bezpieki. Po krótkim namyśle sąsiad zgodził się, by złożyć u niego papiery, czym zaskarbił sobie moją wdzięczność. Nalot wszakże nie nastąpił, a nasze obawy ponownie okazały się przesadzone.

4. Epilog

Największe emocje związane z Okrągłym Stołem i wyborami 4 czerwca 1989 r. ominęły mnie, ponieważ w tym czasie przebywałem na University of Colorado w Boulder (ponownie jako stypendysta Fulbrighta). Jednak wkrótce po powrocie Minister Środowiska w rządzie Tadeusza Mazowieckiego zaproponował mi stanowisko Dyrektora Departamentu Ekonomicznego. Propozycję przyjąłem traktując ją jako wkład w urzeczywistnienie tego, o co walczyłem jako działacz "Solidarności". Z Uniwersytetu Warszawskiego dostałem urlop na dwa lata. W Ministerstwie miałem wiele zadań, z których część wiązała się z reformami ustrojowymi, a część ze sprawami bardziej przyziemnymi. W ramach tej drugiej grupy zadań miałem się m.in. opiekować przedsiębiorstwami, dla których Minister Środowiska był organem założycielskim. W tej roli musiałem kontaktować się ze związkami zawodowymi.

Szefowa jednego z porozumień branżowych "Solidarności" była postrachem wszystkich urzędników, którzy – pochodząc z dawnej nomenklatury – obawiali się o swoją przyszłość i byliby gotowi zgodzić się na wszystko, byleby jej nie podpaść. Ja tymczasem nie musiałem się niczego obawiać, więc nie okazywałem uległości i szacunku, jakiego oczekiwała. Aby mi się odwdziaczyć, stwierdziła publicznie w obecności Ministra, że "dyrektor Żylicz lekceważy ludzi, a dla niej nie miał czasu, ponieważ wolał czytać gazetę." Oskarżenie było oczywiście fałszywe, a dla wszystkich, którzy w Ministerstwie obserwowali moją pracę było tak absurdałne, że oskarżycielka nic nie wskórała. Po raz pierwszy poczułem się jako kombatanat wykorzystujący swoją przeszłość, nie musząc się obawiać związku zawodowego.

Jeszcze raz moja przeszłość "solidarnościowa" przypomniła o sobie w Gdańsku. W 1993 r. byłem zaproszony na wielką międzynarodową konferencję poświęconą ochronie środowiska Morza Bałtyckiego. Na gali, która odbywała się we Dworze Artusa, podszedł do mnie jakiś lokalny związkowiec i wyraził swoje zadowolenie, że ma okazję mnie poznać. Nazwisko w Gdańsku jest znane, ponieważ jeden z moich braci stryjecznych był w latach 1980-81 szefem "Solidarności" na Uniwersytecie, a drugi działaczem związkowym w Stoczni. Mój rozmówca wspomniął jednak, że była również bardzo nieciekawa osoba o tym nazwisku w Ministerstwie Środowiska, na co odparłem, że to właśnie ja (wspominając moje

potyczki z branżowymi związkowcami). Gwałtownie zaprzeczył mówiąc, że to na pewno jest niemożliwe. Stwierdziłem, że nie było w Ministerstwie Środowiska innej osoby o tym nazwisku. Rozmówca zaprzeczył ponownie, ale wyraźnie zmartwiony pożegnał się i zniknął. Zrozumiałem, że rodzi się nowa świadomość społeczna, która chciałaby podzielić ludzi na poprawnych i niepoprawnych, a jeśli coś nie pokrywa się z takim stereotypem, to wprawia w zakłopotanie. Trudno, widocznie tak być musi.

26 września 2006